

Stefan Turski.

Wielkanoc „zuchów krowoderskich“.

Czwarta polowa kompania słynęła na pozycyi z junactwa i brawury.

Było to małe, lecz dobre towarzystwo. Od komendanta począwszy, a skończywszy na kucharach i pucarach, wszystko chłopcy na schwał, nieustraszeni, w bój szli z humorem, jak do tańca, słowem „krowoderskie zuchy“.

Otóż w wielkim tygodniu złożyło się tak, że ta brawurowa kompania miała ścisły post, suche dni, wskutek fatalnego dowozu prowiantów na bardzo niebezpieczny odcinek. Ostatnie konserwy i suchary zostały już pochłonięte przez naszych zuchów.

Wczorajszy dzień minął na głodnego, lecz że to był Wielki Piątek, każdy przyjął ten ścisły post bez szemrania, jako umartwienie za swoje grzechy.

już od szeregu dni wieczorami nadaremnie wsłuchiwali się nasi junacy, azali nie posłyszają tak sympatycznego turkotu wlokącej się po wyboistej leśnej drożyni kuchni polowej z ciepłą strawą.

Ale gdzie tam! Zamiast obiadu, szelmy kucharze zorganizowali orkiestrę z usinych harmonijek, podkradali się o zmroku pod pozycję czwartej kompanii i grali od ucha „Radeckiego“.

Był to znak, że prowiantów nie dowieziono, obiadu nie będzie.

W wielką sobotę rano słońeczko weszło cudownie i ozłociło wygłodzoną brać krowoderską w rowach strzeleckich.

— Panie poruczniku, śliczny dzionek dzisiaj mamy — odzywa się Felek.

— Rzeczywiście, bardzo piękny — potwierdza porucznik.

— W Krakowie dziś ruch, naród urządza wędrówkę po kościołach, zwiedzając Boże groby... Wieczorem rezurekcyja... Zygmunt będzie dzwonił... Później „święconka“, jaja, szynka, kielbasa, baby wielkanocne. Naród będzie pałaszował takie specjały... a my?

— Mój kochany, te specjały należą do przeszłości, dziś chuda fara. Zamiast bab wielkanocnych każdy pałaszuje swoje sto siedmiesiąt gramów chleba z kukurudzy, które z trudem zdobył w ogonku — zauważył porucznik.

— Lepszy rydz jak nic, a cóż my mamy na Wielkanoc? Patrz pan, panie poruczniku, jak wiara wygląda, jak wymoczone śledzie! To z tego ścisłego postu.

— Dziś pewnie co dowiozą.

— Ano dowiozą... jak nie jedzenia, to... amunicji... Lecz ja panu mówię, że wiara tak długo nie wytrzyma, humory już zeszły na psy i jeżeli dziś nie będzie jakiego pofrygunku...

— Nie lękaj się, jutro Wielkanoc, pewnie będzie święcone.

Żeby tylko nie tak, jak w zeszłym roku, jak nas Moskale zaczęli święcić, tak wyświęcili kilkunastu do „Bozi“.

Około południa gruchnęła wiadomość, że prowianty „doszłusowały“ i kucharze czwartej kompanii, nie czekając zmroku, w jasny dzień zajądą pod pozycję z obiadem.

Rozeszła się nawet wieść, że będzie barszcz z wieprzowinką i ziemniaczki ze skwarkami. Chłopcy się cieszą, przygotowują menażki i nadśluchują, czy nie posłyszają z lasu sympatycznego turkotu kuchni polowej.

Mijają kwadransy, godziny, chłopcy spluwają, skrzęcając się z głodu, a każdy z menażką w ręku.

Wreszcie przez całą pozycję przeszedł szept:

— Jedzie, jedzie!...

Felek pierwszy wyskoczył z rowu, przysłonił ręką oczy i wypatruje na leśną drożynę, zali nie ujrzy dymiącej sympatycznie kucharki.

W tem ostry świst przedarł powietrze. To szrapnel rosyjski. Felek zniknął z powrotem w rowie.

Po tym pierwszym strzale zaczęły jęczeć dalsze, a wszystkie w kierunku lasu.

— Patrz pan, panie poruczniku, co te „skieły marynowane“, moskiewskie dusze wyrabiają. Gotowi zrobić bigos z kucharzy.

— Musieli ich odkryć.

— Walą jak waryatyl... Ale, jak Boga Kocham, gdyby nam rozwalili kuchnię, gdyby z kucharzy zrobili „bigos“, to my jeszcze dziś zrobimy z nich „gulasz“.

Tymczasem rosyjski ogień szrapnelowy wzmagał się coraz więcej, pociski padały w las, kładąc pokotem z trzaskiem łamiące się drzewa.

Po pewnym czasie i nasza artyleria zabrała głos.

Felek z menażką w ręku kręcił się w rowie, jak wilk w klatce, wyrzekając:

— Psiakrew, o głupi obiad tyle strzelaniny! Ciakaw jestem, czy dojadą.

Ogień artyleryjski trwał jakiś czas, w końcu działa zamilkły, wszystko się uciszyło, tylko czwarta kompania wsłuchiwała się w las, czy kucharze dadzą znak życia o sobie.

Po pewnym czasie do uszu naszych wygłodzonych zuchów dobiega znana im melodia marsza Radeckiego, grana smętnie przez kucharzy w pobliżu pozycji.

— Co u dyabła, panie poruczniku! Słyszysz pan, znowu Radecki na obiad! — mówi z płaczliwą miną Felek.

Po zasięgnięciu języka u muzykantów-kucharzy, okazało się, że Moskale istotnie rozwalili im na skraju lasu jadącą kuchnię.

— To nas wsadzili w sos — odzywa się któryś.

— Panie poruczniku, możeby tak w odwet maleńki szturm! Odkulibyśmy się na „koryto u Mochów“ — proponuje Felek.

— Nie można, za długi dystans — rzecze porucznik.

— Jak Boga mego, to wiara pozdycha do wieczora z głodu.

— Chcicie, żeby was wszystkich pozabijali?

— Wszyscy przecie nie padniemy. Zginę ja, Antek będzie jadł, zabiją Antka, to ja sobie „pofrygam“.

— Ruhe!

— Ruhe? Ładna „ruła“ na głodnego.

Lecz z krowoderskimi zuchami nie łatwa sprawa. Zaczęli sejmikować, doradzać, zachęcać, w końcu przekonali porucznika, że jedynym wyjściem z głodowej sytuacji jest szturm.

Telefony zaczęły pracować na całej linii i postanowiono, że jeszcze przed zachodem słońca cały odcinek ruszy do ataku na pozycję moskiewską. Nasza artyleria urządziła wspólną przegrywkę, niszcząc zasieki i urządzenia obronne przed nieprzyjacielską pozycją.

Felek, obserwując celne strzały, krzychał uradowany:

— Patrzcie chłopcy, jak nam granaty torują drogę na święcone do Mochów!

— U kacapów można się „odkuć“ za wszystkie czasy.

— Tam u nich „ścierwa“ wędzonego i popijania będzie dosyć, bo ich święta też za pasem.

— Szkoda, że nie obchodzą świąt razem z nami, przyslibyśmy w sam raz do zastawionych stołów.

— Stoły sami sobie zastawimy, niech tylko będzie czem.

— Jak Boga mego, już widzę jak jutro śpiewamy „Alleluja“ dookoła stołu, trzeszczącego pod zastawą.

— Kilka kop jaj...

— Pół wieprzka...

— Kielbas moc, jak drutów kolczastych.

— Ja inaczej nie jem, jak przy stole nakrytym białym obrusem.

— A ja znowu piję tylko dużym kieliszkiem, tak jak w przedwojennych czasach.

Puścili nasi junacy wodze fantazyi. Widzieli siebie zasiadających dookoła zastawionych święconem stołów, ale jak na teraz, kiszki wygrywały im na różne tony Radeckiego.

Dano wreszcie znak i cały front uruchomił się.

Czwarta kompania rwała naprzód na „święcone do Mochów“, nie zważając na ogień nieprzyjacielski.

Wywiązała się na całym odcinku szalona wprost strzelanina. Ręczne i maszynowe karabiny grały krowoderskim zuchom wesolego Alleluja na święcone.

Gdy w końcu dano znak do ataku na bagnety, krowoderskie zuchy zerwali się jak burza z gromkim okrzykiem „hurra“, nucąc wesoło:

Krowoderskie zuchy
Mają puste brzuchy,
Brzuchy wygłodzone,
Jazda na święcone!

Moskale odstrzelili się energicznie, w końcu urządzili kontratak. Lecz nasi rwali niepowstrzymanie naprzód, jak burza z piorunami. Już są na miejscu... Dopadli ich twarz w twarz.

Wstraszeni Moskale rzucili broń na ziemię, powyciągali ręce w górę i zdali się na łaskę i ni łaskę wygłodzonych zwycięzców.

Felek biegnie wprost na olbrzyma kacapa, mierząc bagnetem w jego pierś.

Olbrzym resztkami głosu żebrze miłosierdzia bożego:

— „Hospody pomiluj...“

Felek rozwścieczony, przyskakuje jednym suszem. Przystawia olbrzymowi bagnet do piersi i ryczy wygłodzonym głosem, w jego czerwoną, zapita twarz:

Da w-aj cwibak!!

Niema cwibaka, my już trzy dni „nicze-woś nie kusza“.

— Kłamiesz sukinsynu, musiałeś „kusać“. My tu do was na kuszenie przyszli! — krzyczy rozwścieczony Felek, wierząc wzrokiem kacapa, jakby go chciał przejrzeć na wyłot.

— Dawaj cwibaku, albo konserw, inaczej pójdziesz do „lali“!

— Pomilujcie, panie paljak, jej Bohu, niemam nic!

— A inni?

— Toż, u nas głodno już trzy dni.

— Przecież Wielkanoc wkrótce i nic nie macie?

— Da, da, Woskresenie a kuszenia niet.

— — — — —

Zwycięstwo na całej linii.

Dzięki brawurze naszych wygłodzonych zuchów, pozycja nieprzyjacielska została zdobyta.

W Wielką Niedzielę rano wschodzące słońce ozłociło cudownie ziemię. Z pobliskiej wioski dolatywał radosny dźwięk dzwonów, wzywający parafian na rezurekcyę. Cały świat śpiewał Alleluja!

Nasi chłopcy w świeżo zdobytej nieprzyjacielskiej pozycji skupili się również w okół swojego kapelana i pokłękawszy przed prowizorycznie zbudowanym ołtarzykiem, śpiewali rzewnie „Alleluja“, nadśluchując od strony dawnej pozycji, kiedy nareszcie dojdzie ich uszu tak sympatyczny i upragniony turkot wlokącej się z ciepłą strawą kuchni polowej.

Felek, klęcząc za porucznikiem, szeptał mu w ucho:

— Panie poruczniku... nie udało nam się tego roku Wielkanoc, ruch na całym odcinku, atak, zdobywanie pozycji bagnetami i... klapa z pofrygunkiem, „Alleluja“ na głodnego!

— Nic sobie z tego nie rób — odrzekł również szeptem porucznik. — Co się zwlecze, nie uciecze. Dzisiejszy post powetujemy sobie na ruską Wielkanoc.

K O N I E C